№ 31. Warszawa, dnia 20 Lipca (1 Sierpnia) 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

Jesteśmy w całej pełni martwego sezonu, w samym środku tego symbolicznego ogórka, który nadaje firmę obecnej porze.

W Warszawie jest tak pusto i głucho, że, jak utrzymuje jeden z moich przyjaciół, skłonnych do przesady w stylu, słyszeć-by można dźwięk sierpów i kos w polu za rogatkami miasta, gdyby nie turkot dorożek, uganiających się za pasażerami po bruku i skwierczenie taczek, wożących ziemię przy kanalizacyi.

No, i co najważniejsza, gdyby w okolicach Warszawy nie było już po żniwach.

Te żniwa do reszty ścięły z nóg wielu naszych biednych ziemian, dla których rok bieżący był fatalnym, a klęska posuchy i nieurodzaju zmłóciła ich, jak snop pustych kłosów na klepisku.

Nic dziwnego, iż wielkim głosem wszyscy niemal gospodarze zawodzą jeremiady i wzywają pomocy.

Nietylko plony ich zawiodły, ale strata spodziewanych korzyści zachwiała całą równowagę bilansu i pociągnie za sobą dalsze, coraz smutniejsze konsekwencye.

Oto najbliższy kłopot gotuje im kwestya raty, należnej Towarzystwu Kredytowemu; któż jej nie ma do zapłacenia!... tak mało tych wyjątkowych szczęśliwców, którzy nie potrzebowali zadłużać się i obciążać swej ziemi mniejszą lub większą summą, pożyczoną z jedynej naszej ziemiańskiej instytucyi, ratującej obywatela w chwilach krytycznych.

Pożyczyć łatwo i oddawać nie tak wielka sztuka, kiedy jest z czego, ale gdy dochodu zabraknie i zamiast zysków same straty nieurodzajny rok przyniesie, w takim razie najrzetelniejszy dłużnik zmuszony jest odwołać się do tej wielkiej racyi na swoje usprawiedliwienie, że „z próżnego i Salomon nie naleje“.

W rozpaczliwej sytuacyi pewna grupa ziemian z Lubelskiego wystąpiła też z projektem, aby wobec ogólnej klęski umorzono najbliższą ratę, należną Towarzystwu Kredytowemu, z funduszu rezerwowego, albo przynajmniej rozłożono ją na częściowe spłaty.

Lepiej z tą sprawą obznajomione organa naszej prassy zajęły się wyjaśnieniem kwestyi, wskazując granice, w których Towarzystwo może swoim członkom dawać żądane ulgi. *Słowo* i *Gazeta warszawska* w artykułach gruntownie napisanych wykazują niemożność zadośćuczynienia krańcowym żądaniom ziemian, którzy domagają się odpisania raty z funduszów Towarzystwa; instytucya, ratując w ciężkiej doli swoich członków, nie może zapominać o własnych najżywotniejszych interessach i podstawach przyszłości, nie może pozbawiać się rękojmi swojej doskonałej wypłacalności, a tę przedstawia wobec finansowego świata jej kapitał rezerwowy a zresztą musi liczyć się z ustawą, która ściśle określa warunki ulg, przysługujących w pewnych wypadkach dłużnikom Towarzystwa.

Ustawa, przypuszczając wszelako pojedyncze wypadki, nie przewiduje takiej ewentualności, która zbiorową grupę, cały niemal ogół obywateli, żyjących jedynie z roli, czyni w mniejszym lub większym stopniu zagrożoną i niewypłacalną.

Ewentualność taka zdarzyła się obecnie.

Klęska dotknęła prawie kraj cały, prawie wszystkich; plony zawiodły; w ogólnym budżecie gospodarstw rolnych mogą się różnić pewne pozycye: tu udały się kartofle, a nie dopisało żyto; ówdzie przepadły buraki, a pszenica jako tako obrodziła. W ogólnym wszelako obrachunku wszędzie prawie w ostatecznym wyniku ukażą się niedobory, a wielkie szczęście, jeżeli koniec z końcem da się związać.

Najzamożniejszym przeto gospodarzom, czerpiącym swoje dochody jedynie z ziemi, rok bieżący dał cięgi i każdy z nich wzdycha do ulg i umniejszenia sobie ciężaru, pod którym mu się barki uginają.

W tej wyjątkowej sytuacyi potrzeba też wynaleźć wyjątkowe środki pomocy i ratunku.

W Sierpniu mają się zebrać władze Towarzystwa na walną naradę, rozpatrzeć szczegółowo sprawę, przejrzeć projekta i powziąć uchwałę, któraby złemu, oile możności, zaradziła.

Do tego czasu trzeba zebrać jak najobfitszy materyał, rozpoznać rozmiary klęski agrarnej w całości i w szczegółach, a potem rozważyć trzeźwo, przezornie, co w danych okolicznościach da się zrobić, ażeby instytucyi nie zachwiać i jej podkopanym uczestnikom nie pozwolić upaść bez podpory i ratunku.

Następstwa zbytniej formalistyki byłyby fatalne; mnóztwo majątków musiałoby pójść pod młotek, a Towarzystwo ściągając w imię niewzruszonej zasady swoje należytości, zamiast wspierać, przyśpieszyłoby ruinę wielu ziemian.

Do tego przecież dopuścić niepodobna; Towarzystwo kredytowe ziemskie jest zanadto obywatelską instytucyą, aby obywatelskich celów nie miało zawsze i wszędzie na oku, a swoje dobro stawiało wyżej nad dobrem ogółu i kraju całego.

Możemy przeto spokojnie i z dotychczasowem zaufaniem wyczekiwać wyniku narad komitetowych w bieżącym miesiącu; w zarządzie Towarzystwa zasiadają sami ziemianie, również interessowani osobiście w sprawie na razie dla wszystkich rolników najżywotniejszej. Swoi swoim a *eo ipso* i sobie krzywdy zrobić nie zechcą.

Sprawa ratowania ziemiaństwa naszego w ciężkiej potrzebie nie jest sprawą jednej klassy społecznej; jej klęska bardzo rychło odbić-by się musiała i na innych warstwach, jak się odbija w mechanizmie uszkodzenie lub zniszczenie jednego trybu, który o inne się zahacza.

Oto przyczyna, dla której opinia publiczna tak żywo zajęła się powyższą kwestyą, górującą nad wszystkiemi innemi, nietylko w porze ogórkowej.

Co prawda, niewiele rzeczy budziłoby nas z omdlenia i letniej drzemki na opustoszałym bruku miejskim, który naprzemian rozpala słońce, to zlewają potoki gwałtownej ulewy.

Możnaby się zaziewać z nudów, gdyby się nie miało obowiązkowych zajęć codziennych. Są jednak tacy, którzy utrzymują, że w żadnej porze roku Warszawa nie jest przyjemniejszą... jak podczas martwego sezonu.

Człowiek towarzyski wypoczywa, oddycha swobodniej, zdejmuje jarzmo konwenansu, nie potrzebuje się nikim troszczyć i nikt się nim nie troszczy, oile to w Warszawie, z rodu Wścibskiej, jest możliwem.

Niéma rautów nudnych, niéma proszonych obiadów, obowiązkowych wizyt, jour-fixów, zebrań towarzyskich, plotek, koncertów filantropijnych, przyjemnej flirtacyi według szablonu, wystaw i t. p. dopustów Bożych, które nam przez trzy kwartały w roku czas zabierają.

Są tacy, którym może i słusznie Warszawa najlepiej podoba się podczas kanikuły.

Kto sobie umie dzień dobrze rozłożyć, a nie jest bardzo wybrednym w swoich wymogach i nie przepada za sensacyjną rozmaitością, ten i w tym martwym sezonie znajdzie sposób przyjemnego zabijania czasu i rozrywki.

Na sześciu scenach co wieczór ma do wyboru: dramat, komedyą, operę i operetkę; w Dolinie szwajcarskiej słuchać może koncertu węgierskich kadetów a w letnim cyrku podziwiać hece tresowanych koni i kauczukowych linoskoczków; ma otwarty Ogród Zoologiczny, w którym wszystko go wabi i zachęca do wzięcia akcyi, dającej 6% rocznej dywidendy, a drugie tyle z oszczędzonych złotówek przy bilecie wolnego wstępu; ma Łazienki, cudowne miejsce do przechadzki, marzeń, wspomnień i gruchania, ma Botanikę, pełną woni, świeżego powietrza, kwiatów na grzędach i kwiatów żywych na ławkach, ma trzy wystawy obrazów, werendę do obmawiania bliźnich w Saskim Ogrodzie i werendę w Alejach ujazdowskich, — Warszawiaku, *mein Liebchen, was willst du noch mehr!...*

Ugoruje tylko pole towarzyskiego życia, to prawda, a jałowość chwili odbija się w... sianku, którem z konieczności dzienniki nasze zapychają swe szpalty; ale od czasu do czasu zdarza się jakiś sensacyjny wypadek alarmujący opinią publiczną.

Dostarczyła go np. w ostatnich czasach znowu kolej nadwiślańska.

W niedługich odstępach trzech maszynistów życie postradało na parowozach podczas służby, z powodu wybuchu klapy bezpieczeństwa; trzy ofiary w jednej szerokiej mogile legły na cmentarzu powązkowskim. Zostały po nich wdowy i sieroty. Tysiączne tłumy towarzyszyły im do grobu, w tłoku trudno się było przecisnąć. Wszyscy trzej zmarli skutkiem oparzenia strumieniem pary, która zgotowała im skórę i mięśnie na żywém ciele.

Tragiczny wypadek nie byłby poruszył takich mas, gdyby nie stał w związku z inną kwestyą, a mianowicie ze sprawą oszczędnościowej gospodarki na kolei nadwiślańskiej; obecnie zajmuje się osobna komissya rzeczoznawców zbadaniem przyczyn, które wywołały explozyą, ale ze stron kolejowych odzywają się głosy, oskarżające dzisiejszy systemat forsownej exploatacyi ludzi i maszyn o najgłówniejszą przyczynę tak częstych wypadków na drodze nadwiślańskiej.

Lokomotywy za dużo w ciągu ubiegłej jesieni i zimy wysługiwać się musiały w ciągłym ruchu tam i napowrót z krańca w kraniec, konstrukcya ich ma być wadliwą i nie dosyć uwzględniającą bezpieczeństwo maszynistów, maszyniści przerzucani z jednego parowozu na drugi nie mogli się obznajomić dostatecznie z wszystkiemi właściwościami maszyn, oddawanych im na zmianę przy prowadzeniu pociągów.

A wszystko to wypływało ze względów oszczędnościowych, które od pewnego czasu nadto gwałtownie i nadto krańcowo dążą do zmniejszenia wydatków a powiększenia dochodów kolejowych.

Reformy bywają tylko wtedy dobre, kiedy nie pociągają pośrednio złych następstw za sobą, kiedy nie odbywają się kosztem zbyt ryzykownym i nie prowadzą do celu niebezpiecznemi wysiłkami, których w wypadkach odnoszących się do kolei nadwiślańskiej, nietylko ludzie, ale nawet lokomotywy wytrzymać nie mogą.

Oszczędności zaprowadzone w tej instytucyi z początku graniczyły ze śmiesznością, ale teraz o nieludzkość zatrącają, i czas-by było zreflektować się w reformatorskim zapale, odkąd chodzi, nie już o kieszeń, ale i o życie zarówno personelu służbowego, jak i passażerów.

Pan Lysen et Comp. powinien Bogu dziękować, że mu na kolei warszawsko-wiedeńskiej nie pozwolono popróbować takichsamych experymentów oszczędnościowych w celu powiększenia dywidendy, jak to się praktykuje obecnie na kolei nadwiślańskiej; byłby zapewne do takichsamych rezultatów doprowadził i równie ciężką odpowiedzialność zwalił na siebie.

Niema tedy złego, coby na dobre nie wyszło.

Nie wiem, co po wydaniu opinii wydelegowanej komissyi zrobi Dyrekcya kolei nadwiślańskiej w celu większego zabezpieczenia swoich maszynistów i zapobieżenia dalszym wypadkom, ale obowiązkowo powinna zrobić to, co tylko w poczuciu humanitarności uczynić chce redakcya *Gazety Radomskiej* wobec przerażającego procentu wypadków nieszczęśliwych z dziećmi wiejskiemi: powinna starać się usilnie o zaradzenie złemu.

Wspomniany organ prowincyonalny zwrócił na to uwagę, że w gubernii rydomskiej w ciągu jednego roku ubiegłego zdarzyło się 288 większych lub mniejszych nieszczęść, w których poszkodowane były dzieci.

Tam kilkoro ich zostawionych bez dozoru spłonęło żywcem w chacie, gdzieindziej utopił się chłopczyk lub dziewczynka, gdzieindziej znowu dziecko utonęło w studni lub zmiażdżone zostało pod kołami wozu.

Nie lepiej dzieje się i w innych guberniach Królestwa i Cesarstwa — powiada *Gaz. Rad.*, — tysiące dzieci bez opieki i dozoru stają się pastwą śmierci lub kalectwa ze szkodą społeczeństwa.

Ponieważ zaś opieka nad „malutkimi“ jest obowiązkiem państwa i społeczeństwa, ponieważ patrzeć obojętnem okiem nie można, dodajmy: nie wolno, na tę zagubę tysięcy istot, mających prawo do życia i bytu, należałoby przeto koniecznie obmyśleć środki zabezpieczające je od nieszczęśliwych wypadków i zorganizować racyonalną opiekę i ochronę nad niemi we wsiach i osadach.

Redakcya *Gazety* ogłasza tedy konkurs na napisanie artykułu lub rozprawy w celu rozstrzygnięcia powyższej kwestyi na temat: „Jakie środki przedsięwziąć należy, ażeby usunąć *zupełnie*, a przynajmniej sprowadzić do *minimum* nieszczęśliwe wypadki z dziećmi we wsiach i osadach i w jaki sposób potrzeba organizować nad niemi opiekę i ochronę“?

Za najpraktyczniejsze rady przyznaną zostanie nagroda w kwocie rs. 100, oprócz honoraryum według umowy z autorem za prawo druku.

Termin nadesłania prac oznaczono na dzień 1-go Maja roku przyszłego.

Zadana kwestya, pomimo swojej prostoty, nie należy wcale do łatwych, a zwłaszcza takich, któreby zwyczajnemi środkami rozwiązać się dały; trzebaby sięgnąć w zaniedbaną całkowicie dziedzinę wychowania wiejskiej młodzieży, w dziedzinę prawodawczych przepisów, w organizacyą gminnych instytucyi etc. etc. chcąc skuteczne wyprowadzić wnioski, zaradzające złemu.

Nie starając się wcale o nagrodę, pozwalam sobie sądzić, że ów brak dozoru i pozostawianie dzieci samopas, na łasce Opatrzności, lub opiece domowego brysia, bywa najgłówniejszą przyczyną nieszczęśliwych wypadków między małymi Wojtusiami i Jagnami, że zatem obowiązkowe zakładanie po wsiach ochronek, w którychby dzieci w nieobecności rodziców i starszych, zajętych przy pracy w polu lub gdziekolwiek poza domem, znaleźć mogły bezpieczne pomieszczenie, musiałoby bardzo korzystnie wpłynąć na zmniejszenie się nieszczęśliwych wypadków.

Te dzieciaki, cały dzień Boży pozostawiane na przyźbie, na dziedzińcu, w rowach przydróżnych lub w polu, narażane są ustawicznie na jakąś szkodę, a wszystkie przestrogi dawane im przez starszych przypominają logikę i skuteczność pogróżek owej matki na rysunku Kostrzewskiego, która, wysyłając swojego chłopca przez rzekę, kiwa mu palcem przed nosem i woła:

— A utop mi się ty, zatracony raku, to-bym ci tak skórę sprała, że byś potem przez miesiąc nie usiadł!...

Oprócz ochronek dla mniejszego drobiazgu, potrzebaby, mojem zdaniem, jeszcze postarać się o zajęcie malców jakąkolwiek robotą, któraby ich jaknajwięcej do miejsca przywiązywała, aby nie mogły bąków zbijać i gonić się bezczynnie po polach i drogach; miałoby to także ważny wpływ umoralniający na młodsze pokolenie, któreby jak najwcześniej powinno przyzwyczajać się do systematycznej, porządnej i pożytecznej pracy.

Rad znalazłoby się więcej, ale nie tyle o rady, ile o ich wykonanie chodzi; to najważniejsza. Trzeba, aby ktoś chciał i umiał się tem zająć, a wszystkie konkursa teoretyczne nie przydadzą się na nic, jeżeli nie rozpiszemy wpierw konkursu na... ludzi chętnych, czynnych, wytrwałych, którzyby w praktyce piękne słowa w piękniejszy stokroć czyn zamieniali.

Ile tych pięknych słów w rozmaitych kierunkach, jak złota plewa, z wiatrem uleciało!...

Przypomniały mi się w tej chwili szumne frazesy, któremi przed kilku laty np. witaliśmy powstanie Schronienia dla nauczycielek w Warszawie; miała to być jedna z najpotrzebniejszych instytucyi, jeden z najzacniejszych pomysłów i porywów społecznych, spłacenie długu wdzięczności i uznania przez starsze pokolenie wychowawczyniom pokolenia młodszego.

Wszystko z początku zapowiadało się jak najlepiej; projekt był, nietylko dobry, ale i dobrze wykonany. Starsze, spracowane weteranki pedagogii miały znaleźć tam spokój i wypoczynek, chleb dobrze zasłużony, kąt cichy i wygodny; młodsze—przytułek czasowy i opiekę, radę i wskazówkę, pośrednictwo w wydostaniu zajęcia, bez uciekania się do kantorów stręczeń, które tak często nadużywały czci i zafaunia zgłaszających się kandydatek.

Znalazły się fundusze, znalazło grono prawdziwych protektorek Schronienia, i wszystko zapowiadało się jak najpomyślniej; ale po kilku latach doszło do tego, że instytucya, której potrzebę, pożytek i dotychczasową działalność wszyscy uznają, zagrożona jest upadkiem. Zeszły rok zamknięto deficytem, wynoszącym tysiąc kilkaset rubli; pokryto go z funduszów Schronienia, to znaczy, wyjęto jeden z nielicznych kamieni fundamentu. Jeśli ten rok zmusi do wyjęcia drugiego, to Schronienie razem z pensyonarkami gotowe się zawalić.

A tak popierać, tak rozwijać mieliśmy ten dom weteranek stanu wychowawczego!...

Co prawda, znaczna część winy leży i na samych nauczycielkach; mają instytucyą, która im zapewnia w ciężkiej doli przytułek, na starość byt zabezpieczony, która daje im wiele korzyści, pozwala obywać się bez cudzej łaski i chroni od smutnej i ciężkiej igraszki losów, a jednak nic nie robią w najżywotniejszym interessie swojej przyszłości i pozwalają obojętnie upadać Schronieniu.

To objaw bardzo ujemny i niezaszczytny.

Ustawa wymaga tylko 5 rs. rocznej składki za tytuł i prawa zwyczajnej członkini; dopuszcza taka kombinacyą, iż za fundusz jakiegoś tysiąca rs. spłacanego przez lat trzydzieści ratami, zapewnia potem dożywocie z wszelkiemi wygodami w Schronieniu. I cóż z tego?... kandydatek, proszących o bezpłatne przyjęcie, zgłasza się przeszło sto, a członkiń opłacających składki doliczono się niewielu więcej.

Na fundusz emerytalny znalazły się z całego ogółu wychowawczyń tylko *dwie*, które w imię przezorności zabezpieczają sobie spokojną starość.

A reszta?... reszta żyje z dnia na dzień, biega z lekcyi na lekcyą i nie myśli o tem, co pocznie, gdy uczennic zabraknie i nóg nie starczy do dreptania z godziny na godzinę.

Schronienie ma gorliwy zarząd, ma najchętniejsze podpory w takiej dyrygentce, jak p. Helwich, w przewodniczącej pani doktorowej Brzezińskiej, w dyrektorze X. Zyg. Chełmickim i kilku innych, nie z samego tytułu, protektorkach; gdyby ich starania i działalność należycie poparto, cel i dążenia instytucyi zrozumiano—utrzymanoby ją pomimo chwilowego jej zachwiania się i nie dopuszczono przynajmniej do deficytu, który podkopuje jej fundamenta.

Nie na wiele się przyda nawoływanie w tej sprawie teraz, o takiej porze, kiedy nikt tego nie słucha, a jeśli słyszy, to jednem uchem; w pustej Warszawie trzebaby mieć chyba głos... Arambury, aby zwrócić na siebie uwagę i skupić dokoła tłum słuchaczy.

Aramburo, to bohater wieczorów w teatrze letnim, płomienny Hiszpan, który czaruje operomanów naszych i swoim tenorem, — wspaniałym, kiedy dobrze nastrojony — elektryzuje i wstrząsa całą publiczność.

Śpiewak i artysta niepospolity, ale oryginał i dziwak przytém, kapryśny, jak *primadonna* i nerwowy, jak hysteryczka; nie można nigdy być pewnym jego śpiewu; jednego wieczora umie być i partaczem i mistrzem niezrównanym. Zdaje się, że dewizą tego Raula, Manrica, Radamesa i Masaniella jest: „Sobie śpiewam, nie komu“, publiczność, akcya, orkiestra, scena nic a nic go niekiedy nie obchodzą; w chwilach największego entuzyazmu słuchaczy Aramburę więcej zajmują jego buciki, albo plamy na dekoracyach, aniżeli cały teatr. Nieraz mu się wcale śpiewać nie chce w ensemblach i zaledwie usta otwiera, ale natomiast, kiedy dobrze usposobiony i budzi się w nim artysta—zachwyca głosem, szkołą, metodą, uczuciem, temperamentem i potęgą organu, którym, jak Samson, mógłby mury obalać.

Trzeba na szczęśliwą chwilę natrafić, a wtedy śpiew Arambury staje się prawdziwą rozkoszą; ma coś w głosie takiego, co na słuchacza działa jak prąd elektryczny, wstrząsa wszystkiemi nerwami i orzeźwia; czuje się potężną falę tych jędrnych, dźwięcznych, prawdziwie męzkich tonów, które, jak spieniony potok podczas powodzi, płyną na publiczność.

Oprzeć się im niepodobna, gwałtem cię porywają i unoszą gdzieś w najgórniejsze sfery harmonii i zachwytu.

Ale znów innym razem chciałoby się sykać i gwizdać z oburzenia i żalu do śpiewaka, który „przez nogę“ traktuje swą sztukę, swój talent, i swoich słuchaczy.

Obok odżywionej opery — operetka głównie cieszy się powodzeniem na scenkach warszawskich. W teatrze Nowym wystawiono „Ali-babę“ Lecocq'a z niezwykłą starannością i przepychem, jak na nasze warunki; nowa Dyrekcya nie szczędziła kosztów, rozumiejąc, iż to, co olśniewa, wabi najsilniej, a publiczność ma trochę naturę ćmy w sobie i leci do dużego światła.

W Belle-Vue znowuż „Camargo“, także Lecocq'a, ściąga tłumy i wypełnia luki deficytu, które pozostały w bilansie łódzkiego teatru... Śpiewająca ballerina jest bohaterką tej operetki, a że się szczęśliwie nadarzyła artystka, która łączy sztukę chereograficzną z talentem wokalnym, więc tej nowości w Warszawie przygląda się i przysłuchuje co wieczór wielu ciekawych.

Z innej dziedziny sztuki winienem zanotować choć pobieżnie zbiorową wystawę dzieł Henryka Pillatiego w salonach Spółki malarzy przy Nowym Świecie.

Przed laty dwudziestu pięciu Pillati był to talent w danej epoce niepospolity, malował obrazy i rysował illustracye, które nosiły piętno wyższego artyzmu, ale... nie dotrzymał, co zapowiadał.

Stracony dla sztuki i dla świata żył oddawna na uboczu; z drżącej ręki wypadł mu pędzel, po który schylić się — nie miał już więcej siły.

Powrócę jeszcze do dzieł jego, a tymczasem pójdźcie przypatrzeć się im na wystawie.

Quis.

BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkic powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Rafał, zaledwie ruszył, bramą dziedzińca przejechał, a zbliżył się do lasu, około którego stała niegdyś Jakubówka, zatrzymać się musiał, nagle bowiem, z gąszczu wybiegłszy, zastąpiła mu drogę Marychna w pląsach szalonych, dzikich, przybrana w świeże kwiaty i świeże trawy we włosach.

— Paniczu, sokoliku mój, słówko mi jedno dobre daj, gdy w drogę wyjeżdżasz—zawołała.

— Stój — zawołał Rafał na furmana; konie przystanęły i Marychna zbliżała się do bryczki.

— Jedź zemną — zawołał Rafał, przypominając sobie zamiar powzięty względem Marychny. Teraz wdzięczność jego dla nieszczęśliwej nie mogła objawić się inaczej, jak tylko w praktyczny sposób. Marychna wprawdzie dla nikogo w wiosce ze swojem obłąkaniem niebezpieczną nie była, ale widok jej przypominał Rafałowi zaciągnięty względem niej dług wdzięczności. Mało to komu miłe. Usunąć ją więc i umieścić w szpitalu obłąkanych—było myślą Rafała, a że trafiała mu się ku temu łatwa sposobność, przeto postanowił z niej skorzystać. Na rozkaz panicza Marychna w jednej chwili była już w bryczce.

— Ruszaj—zawołał Rafał i bryczka potoczyła się szybko dalej.

Gdy, przybywszy na miejsce, zatrzymali się przed smutnym domem, w którym mieścili się obłąkani, Rafał wyskoczył z z bryczki, a porozumiawszy się już dawniej z naczelnym lekarzem szpitala, rzekł teraz do Marychny.

— Słuchaj, Marychno, muszę iść za interessami; w wielkim świecie zgubić się możesz: trzeba abyś tu na mnie zaczekała.

Marychna nie sprzeciwiła się rozkazom panicza. Spokojnie zeszła z bryczki, równie spokojnie pozwoliła się zamknąć w celce szpitalnej, a tylko, gdy panicz się oddalał, wybuchnęła szalonym płaczem, do nóg mu się rzuciła i łkając, wołała:

— Paniczu, sokoliku ty mój, tylko mi długo tutaj nie daj czekać na siebie. Czekałam ja już lat tyle i wiem co to jest czekanie.

Rafał przyobiecał szybki powrót, a ludzie, co patrzyli na tę scenę, szeptali do siebie:

— Jaki to dobry pan! biednemi się opiekuje.

Wyszedłszy ze szpitala, Rafał odetchnął swobodnie; wyrozumował już bowiem sobie, że w ten sposób spełnił dobrze zaciągnięty dług wdzięczności. Nie obliczył się jednak z faktem, że dziewczę, przeniesione na grunt inny i w inne warunki, może ich nie zniesie i zmarnieje. Był więc zupełnie spokojnym, kiedy się już rozgościł w hotelu i zaczął myśleć o interessach, jak niemniej o sposobach zdobycia środków, któreby go jaknajprędzej do celu doprowadziły.

Wspomnienia młodości zajęły go zaledwie przez chwilę; ubrał się i wyszedł śpiesznie na miasto.

Ledwie parę kroków na ulicy postąpił, gdy o uszy jego obił się głos dobrze mu znany:

— Pan Rafał.

Obejrzał się: przed nim stała Jadzia, zawsze świeża, wesoła, piękna, takasama, jak wtedy, gdy żądała od niego miłości braterskiej, a on jej inną obiecywał.

Ale Rafał teraz nie miał ochoty zupełnie przypominać sobie swoich obietnic zprzed lat kilku.

— Panna Jadwiga — zawołał obojętnie — Ah, jakże mi przyjemnie widzieć panią, tak dobrze wyglądającą! A mama pani?

— Mama często wspomina o panu; często mnie się dopytywała o niego, alem ja jej nic powiedzieć nie mogła, boś pan znaku życia o sobie nie dawał. Właśnie jesteśmy około naszego domu: może ją pan odwiedzisz?

Uprzejmemu zaproszeniu trudno było odmówić. Rafał poszedł.

W mieszkaniu matki Jadzi, prócz niej samej zastali jeszcze pannę Lizę Brekmann, która do tej chwili darzyła przyjaźnią wytrwałą Jadzię Chrucką.

Czasy się teraz bardzo zmieniły. Dawny komisarz obwodowy w Tarnowie Brekmann, jako hofrat, ze zmianą systemu, zmienił swoje poglądy. Co te poglądy wreszcie wszystkie razem obchodzić go mogły? Majątek miał olbrzymi, posag córki ukochanej wynosił krocie... Był to i teraz Niemiec krwi czystej, z jednem jedynem uczuciem w sercu dla dziecka. Gdy był sam-na-sam z Lizą gdy mógł swoje serce i przekonania przed nią otworzyć, wtedy, jak dawniej, ukazywał jej praktyczną stronę życia z cyniczną szczerością. Poglądy też córki były zupełnie zgodne z przekonaniami ojca.

Gdy Jadzia z Rafałem ukazali się w mieszkaniu pani Chruckiej, ta, widząc przybysza, ręką przysłoniła oczy, aby mu się lepiej przyjrzeć. W pokoju znajdowała się panna Liza Brekmann.

— Pan Rafał, mateczko — krzyknęła nagle Jadzia, widząc ciekawość matki, rysującą się wyraźnie na jej twarzy.

— Rafałek Rajewski — zawołała pani Chrucka. — A chodźże tu dziecko moje, niech cię uściskam! A tożeś mi wyrósł, a jakie wąsy, a broda! Nigdybym cię była nie poznała.

Rafał schylił się do ręki pani Chruckiej i ucałował ją z szacunkiem, ona za głowę go objęła, do piersi przycisnęła i mówiła dalej:

— Wiem, wiem wszystko; znam historyą twoję, twojej choroby i twojego nieszczęścia. Mogłoby być gorzej, gdyby nie poczciwa, kochana nasza panna Liza.

— Panna Liza? — powtórzył zdumiony Rafał.

— Pan Rafał Rajewski — zawołała Jadzia, chcąc przerwać objaśnienia matki zaprezentowaniem Rafała Lizie; ale on zanadto był zainteressowany tem, co słyszał, aby go ciekawość nie miała popchnąć do dalszych pytań:

— Jakto? — rzekł, — bądźcie panie tak dobre objaśnić mnie: w jaki sposób na los mój wpłynęła panna Liza, ratując mnie z niebezpieczeństwa, o którem się dopiero teraz dowiaduję?

— Oh, pocóż to z tego robić tajemnicę? —z arrogancyą zawołała Liza. — Groziło panu bardzo wielkie niebezpieczeństwo przed kilku laty, wtedy właśnie, gdyś żądał za granicę paszportu. Ojciec względem pana miał wtedy bardzo surowe instrukcye—no, ale prosiła Jadzia za panem; uczyniłam więc wszystko, co tylko mogłam uczynić, aby pana ludziom i światu zachować. Udało się nam: jesteś pan wśród nas, a nie w Ołomuńcu lub Kufsteinie, gdzieś być powinien.

W takim razie pozwól pani, że ci moje podziękowanie złożę. Uczyniłbym to już dawniej, objaśnienia jednak, które słyszę, dochodzą do mych uszu po raz pierwszy.

— Podziękuj pan tutaj Jadzi. — Ja podziękowania przyjmuję tylko u siebie w domu.

— Skorzystanie z tak miłego zaproszenia za obowiązek sobie uważać będę.

Obietnica ta na twarzy Lizy wywołała uśmiech zadowolenia, zasmuciła natomiast Jadzię.

— Jakże ci tam idzie gospodarstwo, mój chłopcze? — pytała pani Chrucka—jak się ma poczciwa twoja matka? Siostry pewnie już powyrastały także, jak ty, panie Rafale....

— Dziękuję, matka i siostry trzymają się dobrze, ale gospodarstwo nie najlepiej. Czasy teraz ciężkie, bardzo ciężkie, a jeżeli mi się nie uda wynaleźć tu odpowiednich środków i skierować ich na grunt inny przez wprowadzenie jakiegoś przemysłu rolnego, to doprawdy, nie wiem czy się utrzymamy przy Zielonej i czy starej siedziby naszej nie trzeba będzie opuścić?

— A, co też mówisz, dziecko moje! Ziemi się trzymać, ziemi: to stara prawda, — zawołała pani Chrucka,—stary pewnik.

— Trzymamy się też, ale trzeba iść naprzód, a do tego środków i pieniędzy brak.

— Tobież mówić o braku środków! Młody jesteś, przystojny, rozumny, nie trudno ci się bogato ożenić. — Ot i ratunek jest.

Ta zwykła tuzinkowa rada pani Chruckiej wywołała sprzeczne wrażenia na dwóch młodych panienkach, które ją słyszały, a trafiła do przekonania Rafała.

— Ożenić się! — pomyślał, a dlaczegóżby nie? Prawda, to taki środek łatwy, tak naturalny. Rzecz dziwna, że mi to dotychczas na myśl nie przyszło!

— Ożenić się, dla majątku, dla pieniędzy, ależ to byłoby potwornem, — pomyślała Jadzia. — Ja majątku nie mam, a on przecież mnie, mnie tylko kochał.

— Chłopiec przystojny, rodzina piękna, jestem bogatą, mój posag wystarczy na uratowanie majątku, — przemknęło błyskawicą przez głowę Lizy.

Wszystkie te myśli znalazły też odbicie swoje na twarzach zgromadzonych. Rafał się zamyślił, Liza uśmiechnęła, a Jadzi łzy w oczach zabłysły. I ani Chrucka tylko, niewiedząc, jaką przykrość swą radą sprawiła córce, ciągnęła dalej:

— Mój Rafałku, nie namawiam ja cię, abyś bez uczucia oddawał się kobiecie, której nie pokochasz, a tylko dlatego, że posiada majątek. Ale, widzisz, rozwaga w tych rzeczach nie zawadzi; miłość wiecznie nie trwa, zastanowienie z wiekiem przychodzi: trzeźwym więc być trzeba koniecznie.

— Tak, pani masz słuszność, trzeźwym być trzeba i o przyszłości myśleć.

Jadzia znosiła męki.

Na Rafale tymczasem słowa jej matki tak głębokie uczyniły wrażenie i tak pochłonęły całą pracę jego mózgu, że dalej prawie nie był wstanie ciągnąć rozmowy. Na pytania Jadzi i Lizy opowiadał z roztargnieniem i po niejakim czasie wstał nagle z miejsca, aby się z niemi pożegnać.

— Czy długo jeszcze zabawisz z nami, Rafałku? — pytała pani Chrucka.

— Zapewne długo. Nie wyjadę ztąd, dopóki czegoś nie postanowię, środka jakiegoś nie znajdę.

— Niechże ci Bóg pomaga, — szepnęła na pożegnanie pani Chrucka, całując jeszcze raz głowę Rafała.

— Do widzenia, — dodała smutnie Jadzia.

Rafał pożegnał się z kobietami i wyszedł.

Opuszczał mieszkanie pani Chruckiej z tą jedną tylko myślą, którą mu właśnie podsunęła staruszka. Szedł i nie widział nic wkoło siebie.

— Rafał! niech cię kule biją!—nagle zadźwięczało mu nad uchem i wyrwało go z zadumy. Oczy więc do góry podniósł, zatrzymując się, i spostrzegł przed sobą mężczyznę, ubranego według ostatniej mody, z twarzą uśmiechnioną. Z twarzy jednak spotkanego nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska.

— Nie pamiętasz mnie? Ależ, do dyabła, musiałem się już postarzeć!—zawołał zaczepiający.

— Dalibóg nie poznaję.

— Nie poznajesz Józia Gabrowskiego?

— Prawda, Józef. Jakże ty się zmieniłeś!

Ten, który się nazywał Józefem, po tym przypomnieniu Rafała rzucił mu się na szyję i szybko zaczął mówić:

— A niechże ci nóżka spuchnie! żebyś ty wiedział, chłopie, coś my się tutaj z panną Jadwigą namartwili. Bo, doprawdy, źle z tobą być mogło, gdyby nie Liza Brekmann....

— Aha, Liza! Powiedz-że mi, co zacz jest ta panna Liza?

— Ciekawyś? posłuchaj. Panna Liza Brekmann jest to największy ananas naszego grodu. Jest panią despotyczną swojego ojca, łotra zpod ciemnej gwiazdy. A ma przytem trzykroćstotysięcy guldenów posagu. Mógłbym ci o niej zresztą jeszcze wiele ciekawych rzeczy powiedzieć, ale już chyba nie tutaj na ulicy. Wiesz co? Wstąpmy na kieliszek wina. Oto właśnie stoimy przed obywatelem, który szynkuje i fabrykuje winną jagodę. — Chodźmy.

I poszli.

Filigranowy i elegancki niegdyś Józio zmienił się teraz doniepoznania. Dawniej bujał w eterach, żył poezyą, kontentował się choćby maleńkim cukierkiem; teraz czuć było w nim człowieka, który dobrze zjeść i wypić lubi.

Dawniej pisywał nawet wiersze — dzisiaj już tylko na prozę życia zdobyć się umiał.

Skoro tylko zjawili się w restauracyi, natychmiast podszedł do gości garson i począł wyliczać wszystko, co się w niej znajdowało do jedzenia. Przy długiej liście Józio coraz wyraźniej krzywił usta.

— Do krocset dyabłów! na psy widzę schodzi wasza restauracya. Wierz co, — wypijemy najpierw buteleczkę szambertyna, a potem ja ci przygotuję jedzenie, że palce lizać. — Słuchaj — zwracając się do kelnera i nie czekając na odpowiedź Rafała, zawołał:

— Przynieś, kochanie, pudełeczko homara, trochę kawioru, bryndzy, sardynek, do tego papryki i kilka oliwek.

Garson natychmiast polecenie spełnił, a Józio przygotował się do spreparowania przysmaku z namaszczeniem prawdziwego gastronoma.

Skończywszy tak ważną operacyą, zawołał:

— No, cesarz chiński takich łakoci nigdy nie kosztował. Teraz weź bułeczkę, smaruj, jedz i podziwiaj.

Połknąwszy kilka kęsów i wypiwszy kilka kieliszków szambertyna w milczeniu, Józio nagle zawołał:

— A, a! O czem to mieliśmy mówić? Prawda, o dawnych czasach. Pamiętasz, jak to się pięknie żyło? Przypominam sobie jakeś doskonale deklamował *Odę do Młodości.*

— Dzieciństwo.

— Tak, dziś to już łatwo osądzić, że to było dzieciństwo, ale dawniej oburzaliśmy się na Szydlika, który miał odwagę nam to mówić. Co się z nim dzieje?

— Uczy chłopów abecadła, — odparł z ironią Rafał.

— Nie gadaj! Zwaryował chłop, jak mi Bóg miły, zwaryował! Pijże; cóż, nie smakuje ci szambertyn? Nie prawdaż, że przewyborny? Garson, przynieś jeszcze butelkę. No, a co ty powiesz o tej Jadzi? — Także waryatka. Uważasz, jak Boga kocham, konkurrentów ma moc, i to jakich konkurrentów, a za mąż wyjść nie chce. Pamiętasz, jakeśmy się w niej wszyscy kochali? Oj życie to było, życie!—No jedz-że homara.... Oj, czasy teraz, czasy! niech ich nie znam; nie wiem co u dyabła tam się ludziom popsuło. Teraz, myślisz, porządny człowiek ma co? Poczekaj, gałgan, żyd, oszust, niemiec to mają, ale porządny nasz brat, przyjacielu — figę. Ot, naprzykład, ta Liza: trzykroćstotysięcy guldenów, wyraźnie trzykroćstotysięcy guldenów, i gdyby nie miała takiego łajdaka ojca, dawno byłaby już wyszła za mąż; ja pierwszy byłbym się z nią ożenił.

— A cóż ty właściwie robisz?

— Ja, braciszku kochany, właściwie nic i bardzo wiele. Zawiesiłem się najpierw sądownictwie: wyrzucili. Poszedłem do banku, przesiedziałem miesięcy parę: znów wyrzucili. A wiesz jakie mieli do mnie pretensyą? Oto, abym dzień i noc w biurze siedział, ani dopił, ani dojadł, żebym następnie suchot dostał — i żeby mnie dyabli wzięli. „Nie głupim — pomyślałem— miłe mi jeszcze życie“ —i najaktualniej dałem, braciszku, nogę. Dziś zajmuję się interessami moich przyjaciół, wyrabiam im paszporta, pośredniczę w nabywaniu dóbr; jednem słowem: robię wszystko, co się da, i nienajgorzej wychodzę na tem.

— Ale, ale, cóż tak łajdackiego uczynił ten ojciec bogatej Lizy? — przerwał paplaninę Józiowi Rafał.

— Drwisz chyba, przecież wypadki z przed lat kilku to jego dzieło.

— O, my-bo jesteśmy w sądzeniu cudzych grzechów niesłychanie surowi, ale gdy chodzi o nasze własne, nawet przez mikroskop dojrzeć ich nie możemy.

— Cóż chcesz? — ale tu wyjątkowo opinia ma słuszność.

— Tak mówisz? A dajże mi pokój! Co to jest ta wasza opinia? Pusta bańka mydlana, kapryśny despotyzm; błaznom stawia pomniki, ludzi prawdziwej zasługi strąca w przepaści. Nie, nie, ja drwię sobie z tej waszej opinii publicznej.

— Przepraszam cię, kochany Rafałku,—zawołał teraz Józio, mrugając filuternie oczami—jakiż jest teraz stan twojej kieszeni?

— Dlaczego?

— Bo jeśliś, mój bracie goły, jeśli ten homar i ten szambertyn, są tylko efemerydą, jeśli ich codziennie zjadać i codziennie za nie płacić nie możesz—to radzę ci, kochany przyjacielu, z opinią nie igraj, bo zginiesz, jak ruda mysz w popiele. Wiesz, dla czego mi się względnie dobrze powodzi? Oto, widzisz, jestem z wielkim respektem dla tak zwanej opinii publicznej. Godzę się ze wszystkiemi opiniami, jakie spotykam na drodze, unikam jednak stanowczo takich, od których wszyscy odwracają się plecami. No, ale teraz powiedz mi, co ty porabiasz? Ożeniłeś się?

— Nie.

— Z tego poznaję, żeś człowiek rozumny. Twoje kawalerskie zdrowie! — No, a jakże tam Zielona?

— Po uszy w długach.

— To mniej wesołe.

— Potrzebuję pieniędzy.

— Któż ich nie potrzebuje?... Ale jeżeli Zielona, jak powiadasz, w długach, to trudno ich będzie dostać; może-by ją lepiej sprzedać i, spłaciwszy długi, kupić coś mniejszego....

— Nie, nie. Muszę ją ocalić; chcę ją ocalić— dla idei, tylko inaczej, niż dawniej, nie według recepty *Ody do Młodości.*

— To było dzieciństwo.

— Tak, biegliśmy naoślep i musieliśmy upaść w błoto; teraz znalazłem inną drogę, która jest pewnikiem matematycznym, bo się na liczbie opiera.

I tu zaczął Rafał, tak jak Szydlikowi niegdyś, tłómaczyć swoje nowe teorye. Józio z początku słuchał ich cierpliwie, nawet z zajęciem, potem z pewną ironią, w końcu z obojętnością.

— Cóż ty na to wszystko, mój Józefie? — skończywszy expozycyą swych planów,—zawołał, dotknięty obojętnością dawnego kollegi, Rafał.

— Co ja?—odparł Józio. A no, nic—i zadeklamował....

I popił tę swoję deklamacyą nowym kieliszkiem szambertyna.

— Ja do ciebie mówię poważnie, — zawołał Rafał.

— Tak, ale widzisz, cała ta twoja powaga, to takasama poezya, jaką przed chwilą deklamowałem. Plany twoje, podobne do marzeń dziecinnych, wymagają milionów: a ty co posiadasz?... Chcesz zapomocą dłuta i kielni przerobić ludzkość, a nie starczy ci nawet na odrobinę gliny do umocowania pierwszej cegiełki, jaką pod ten fundament podłożyć musisz.

— Jakto? — zawołał Rafał, więc nie znajdę, myślisz, pieniędzy na cele szlachetne?

— Mój kochany, przedewszystkiem kapitałów szlachetnych nie ma: są kapitały — nic więcej. Dostać zaś ich można, albo rozbijając kassę jakiego wielkiego banku, albo wygrawszy na liczbowej loteryi, jeżeli kwinterno dopisze, albo w Homburgu, Baden-Baden lub Monaco, albo w końcu przez bogaty ożenek. Mówią ludzie, że jeszcze jest jeden środek, który nazywa się pracą, ale ja weń nie wierzę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 5 Lipca, 1889 r.

(Spóźnione).

Wystawa i jej wpływ wszechmocny.—Co tu nowego.—Jeszcze wieża Eiffela.—Oddział sztuk pięknych i ich pałac.—Przegląd porównawczy i wrażenia.—Matejko i niebezczne sąsiedztwo.—Patryotyzm i sztuka.—Hiszpania i Anglia.—Mobilizacya francuzka.—Jej wpływ i znaczenie.—Malarstwo przed wiekami.—Zabytki Grecko-Egipskie.—Zbiór p. Grafa z Wiednia.—Bezrobocie furmańskie,—Jak się przedstawia ta kwestya? — Furman paryzki i jego: *Curriculum Vitae*.—Co się dzieje w Izbie Poselskiej?—Sprawa Jakóba Meyera. — Minister sprawiedliwości. — Przyszłe wybory.—Prognoza.—Głos p. Gobleta.—Kongres własności literackiej.—Juliusz Simon i jeden z wielkich poetów.

Wystawa powszechna pochłonęła i dotąd pochłania wszystko. Sama nawet polityka musiała jej ustąpić z drogi — chociaż, Bóg świadkiem, nie z własnej woli. W Izbie Poselskiej gotuje się, jak w kotle: obelgi, wyzywania na rękę, obmowy i skandale nie schodzą z porządku dziennego. Ale dzienniki, tak pilnie trzymają się programatu: — Wystawa przedewszystkiem!... że o tej brudnej i wstrętnej polityce, tyle tylko się mówi, ile potrzeba, aby pozostać, jak tu powiadają: *w pociągu* (*dans le train*).

I wasz korespondent pójdzie za tym przykładem... Mało to, albo nic wcale, nas to nie obchodzi—że się ten lub ów z posłów poczęstuje od złodzieja i zdrajcy! Zostawmy Francuzom ich skandale i oszczerstwa wspólne — a przejdźmy do porządku dziennego — to jest: do tego, co się tu dzieje...

Z ostatniego mojego listu widzieliście, że Wystawa Powszechna, otwarta urzędownie w pierwszych dniach Maja — nie była jeszcze gotową i skończoną, we wszystkich swych częściach, nawet 1 czerwca. — Ale już z ostatnim dniem Czerwca byliśmy prawie w komplecie — mówię prawie, bo są jeszcze takie szczegóły tego ogromu, gdzie zawsze zostanie jaki ćwiek do wbicia, jaka półka do przymocowania — jakaś część dalekiego świata do odkrycia. Nie mogło być inaczej, kiedy powiedziano z góry, że ta wystawa będzie powszechną, w całem znaczeniu tego słowa!

Jest powszechną, to prawda; ale tyle ich już mieliśmy powszechnych — w różnych częściach świata, od lat czterdziestu. Na tyle już napatrzyliśmy się przeróżnych popisów, że tu, naprawdę, możemy powiedzieć: nic nowego pod słońcem! Wszystkie te machiny, wszystkie te wyroby ludzkiego przemysłu—przeszły już przed naszemi oczami. Tu i gdzieindziej—nic nowego! Są może trochę bogatsze, świetniejsze, lepsze, w pewnym względzie; ale zawsze tosamo.. Jedno chyba najnowsze: to wieża Eiffela, a o tej tyle już powiedziano i otrąbiono, że niéma potrzeby tu mówić, jakie to dziwo ma znaczenie w rzędzie *rarytasów* wystawy! Ta wieża, zdatna do wszystkiego! do niczego, jest głównym przedmiotem podziwu wszystkich Francuzów, a za nimi reszty *baraniejącej* publiczności. Pomyślcie tylko: windować się w górę na wysokość 300 metrów! Windować się na trzy kondygnacye i każdą opłacać potem czoła i brzęczącą monetą!—a wszystko na to, aby z owej wysokości spojrzeć na niezliczone kominy i dachy domów paryzkich, rozsiane jakby na olbrzymiem mrowisku. Ale głupota ludzka jest niewyczerpaną — i amatorów windy nie zbrakło dotąd, i nie zbraknie do skończenia świata...

Dodajmy, że intelligentny p. Eiffel nie zasypia na laurach i reklamy sypią się, jak z worka... Pomyślcie tylko: ile to, i jakich attrakcyi znajduje siedzący na windzie gapimucha: najpierw, że wylazł na wieżę, że się zapisał na regestrze otwartym w tym celu na pierwszej kondygracyi 100 metrów; — że widział jak się drukuje numer specyalny *Figara* z wieży; — że zjadł kotleta tam, gdzie 250 osób bankietowało na wieży; że na każdej kondygnacyi kupił sobie miedziany medalik za franka—wartości rzeczywistej 10 cent., posrebrzany na 2-ej, a pozłacany na 3-ej kondygnacyi wieży Eiffela... Alboż to nie wystarcza do uszczęśliwienia człowieka nazawsze!...

W takich warunkach, aby nie być w niezgodzie z głosami wszystkich dzienników świata—i wszystkich w ogóle ludzi, co mówili, mówią, albo mówić będą o tej wystawie — aby nie być oskarżanym, o najbrzydszy pessymizm—odwołuję się do listów poprzednich, do pierwszego, zewnętrznego, ogólnego wrażenia, jakie ta wystawa sprawia na każdym — i poprzestaję na tem, bo wchodzić, choćby w skrócone opisy tego, co się mieści w piętnastu katalogach urzędowych — in 8-o, każdy z jakich dwustu ćwiartek,—uważam za rzecz niepotrzebną.

Proponuję zatem następną ugodę czytelnikom moim. Zajmując się, jak zwykle, bieżącemi sprawami, jakie każdy tu dzień przynosi—zwiedzimy razem jeden lub dwa oddziały wystawy, o których powiemy krótko i zwięźle, co nam własna przyniesie obserwacya—tak, aby wilk był syty i koza cała.

Zaczniemy dziś od tak zwanego: Pałacu sztuk pięknych—to jest od wydziału wystawy poświęconego sztukom pięknym całego świata—ze specyalną wystawą; dziesięcio—i stulecia—malarstwu i snycerstwa we Francyi.

Sam ten pałac — jest to gmach, niezmierny ozdobny, wytworny i pełen tych szczegółów architektonicznych, które mu nadają charakter jakby syntezy tego wszystkiego, cokolwiek nowe wynalazki mogły dodać do dawnych zasad budowniczych. Usposabia to dobrze i oczy i umysł widza, i wprowadza go, jakby w ten świat odrębny sztuki—gdzie wyobraźnia największą odegrywa rolę.

Wchodzimy — dobrze urządzone i oświetlone ogromne salony następują po sobie, i tu, zacząwszy od malowideł, a kończąc na ogromnej halli snycerstwa, znajdujemy wszystkie kraje i narody ucywilizowanego świata ze swemi utworami sztuki — jakby kwiatem w pełnym swym rozwoju—umysłowej potęgi każdego.

Jakkolwiek nawał jest wielki, jakkolwiek, nie wszystkie arcydzieła stanęły do konkursu, jakkolwiek człowiek chciałby pobłażliwie sądzić—przyznać potrzeba... że mało, niestety, bardzo mało, wybranych się znajdzie. Są kraje i oddziały, które można ominąć bez grzechu — a w ogóle to powiedzieć należy,—że wpływ szkoły francuzkiej przeważa wszędzie, nawet tam, gdzie się go najmniej możnaby spodziewać.

Rzecz dziwna: Niemcy, Włochy, Rossya najmniej wybitne zajmują miejsca. Celują: Hiszpania, Anglia i Francya. My utonęliśmy w potrójnym podziale — a nawet takie dzieło — jak Kościuszko Matejki — traci całą swą wartość, zawalone z dwóch stron jaskrawem i olbrzymiem malowidłem Miszki Munkacza. Co do tego dzieła Matejki, sądy tu, jak na całym zwykle świecie, są rozmaite. Na to każdy musi być przygotowanym—bo arcy-to rzadkie dzieło, na którego pochwałę godziliby się wszyscy..

Zresztą, uczucie patryotyzmu łatwo lgnie do sądów estetycznych o dziełach sztuki.—Wszędzie są ludzie, którym się zdaje, że ich ojczysta sztuka jest najpierwszą w świecie, że ich mistrzowie nie mają równych sobie, nietylko na własnej grzędzie, ale i na szerokim wygonie świata.. Ci ludzie są widocznie zaślepieni, tym pseudo-patryotyzmem szczególnego rodzaju, który się dziś przebija u nas, we wszystkich kierunkach, albowiem dla każdego, kto ma oczy, aby patrzeć, i umysł, aby sądzić, jasną jest rzeczą, że w obecnej chwili jedna jest tylko sztuka na świecie — powszechna, uniwersalna, a Francuz zarazby dodał do tego, że szkoła francuzka, jest tą szkołą, do której idą się uczyć wszystkie narody!... Lube marzenie, ale tylko marzenie... któremu tu zaraz zadają kłam na tej wystawie Hiszpania i Anglia, dlatego właśnie, że wskutek tradycyi i usposobienia narodowego ducha, obie jaknajdalej trzymają się od tej szkoły...

Nie mogę i nie chcę tu wyliczać po szczególe obrazów hiszpańskich i angielskich... Wspomnę tylko, że portrety kobiece w wydziale hiszpańskim E. Melidy — i portrety angielskich mistrzów, takie jak: kardynała Manninga, Gladstone'a i t. d. przypominają najlepszych mistrzów przeszłości...

Francya wyruszyła z całą swoją potęgą. Jest to mobilizacya i prawdziwe pospolite ruszenie, we wszystkich oddziałach—a szczególnie w sztukach pięknych Po tem, co tu wystawiono, niéma już co szukać po domach: wszystkie kąty próżne. Ruszyliśmy na targ, z całym rynsztunkiem—dzisiejszym i przeszłym... Ale cóż? Wiele blasku, wiele świetności zapewne... ale zbytek biegłości technicznej zabija ducha; niéma nic, coby wyglądało z za tych płócien—i mogło porwać człowieka. Prawda, żeśmy to już widzieli wszystko—w ciągu lat dziesięciu ostatnich—prawda, żeśmy się z tem zrodzili; ale jakkolwiekbądź technika ma swoje prawa i znaczenie, nie może przecież w sztuce zastąpić jednego,—bez czego żadne dzieło, nie będzie nigdy arcydziełem: natchnienia... Widzimy tu biegłość zadziwiającą, często posuniętą do ostateczności, biegłość skończonej doskonałości; ale braknie nam właśnie tego, co jest prawdziwie ludzkie, braknie tej lekkiej, niedostrzeżonej wady, która zdradza naszą prawdziwą, ułomną naturę—i daje miarę tej walki, jaką staczać musi natchnienie—z fizyczną siłą i wprawą.

Tyle mogę dać wam jako własne moje wrażenie. Czytam i widzę, że nasi korrespondenci przeróżni, jeden wspólny hymn zawodzą na cześć francuzkiej szkoły.

Nie dziwię się, nie wypominam: każdy ma swój sąd własny; radbym tylko, aby, patrząc na to czarodziejstwo, jakie roztacza wystawa sztuk pięknych w tym pałacu, wracali po kilkakroć, a potem, zamknąwszy oczy, starali się przejrzeć i ocenić to, co im najgłębiej weszło do duszy... Cała wielkość tej części wystawy zredukuje się wówczas, do kilkunastu obrazów... ale czy wszystkie znajdą się w oddziale francuzkim? Wątpię!..

Nie wychodząc z działu sztuk pięknych, niech mi wolno będzie zwrócić waszę uwagę, na jeden z najciekawszych przedmiotów: na zabytki starożytnego malarstwa pozostałe w oryginalnych, a doskonale zachowanych portretach z epoki grecko-egipskiej — to jest, co najmniej, z pierwszego wieku przed N. Chr.

Portrety te, stanowią zbiór prywatny, własność znanego wydawcy wiedeńskiego p. Teodora Grafa. Zbiór ten, składający się z 95 okazów, nie należy bynajmniej do wystawy powszechnej Pola Marsowego i jest tymczasowo umieszczony w domu przy Placu St-Germain-des-Près.

Są to okazy niezmiernie ciekawe, bo jedyne, jakie nam dostały się w spuściźnie po starożytnem malarstwie; poraz pierwszy dają nam one wyobrażenie, czem być musiała sztuka malowania portretów u Starożytnych; — znalezione bowiem dotąd były jedynie malowidłami ściennemi — te zaś, są malowane na bardzo cienkich deszczułkach z drzewa, i malowane woskiem w sposób zupełnie dziś już dla nas zatracony.

Portrety znaleziono w Egipcie około starożytnego Fajum, gdzie się znajdował pewien rodzaj Campo-Santo — główny skład mumii z sąsiedniego Memfis. W Egipcie, jak wiadomo, klassy wyższe i zamożne już w III wieku przed Chrystusem przyjęły w części cywilizacyą i obyczaje greckie. Dzięki więc starożytnemu zwyczajowi Egipcyan, odtwarzano na trumnie, albo na mumii, oblicze zmarłego. Egipt grecko-rzymski zachował ten zwyczaj, ale zastępował go portretem malowanym odrębnie, a który, zamiast nieforemnego dawnego oblicza—stawał się prawdziwym wizerunkiem zmarłego.

Taki portret, malowany, jak mówiłem, na cienkiej deszczułce z drzewa, umieszczano na twarzy nieboszczyka; przymocowywano go zapomocą szerokich tasiemek mumii (*bandelettes*) otaczając starannie brzegi, tak, aby sama tylko twarz malowidła, była widzialną. Zdawało się, wówczas, jakgdyby twarz zmarłego wyglądała z trumny. Było zresztą zwyczajem, iż rodzina i krewni odwiedzali te mumie, złożone w grobowcach, zamknięte w drewnianych malowanych trumnach, których wieka otwierały się dowolnie w miejscu, gdzie się znajdował portret nieboszczyka.

Kilka mumii tego rodzaju znaleziono już kilkanaście lat temu w Memfis i w Tebach; ale w ostatnich dopiero czasach odkryto wielką ich bar-

dzo ilość, w dwóch miejscach prowincyi Fajum — gdzie niegdyś znajdowała się znakomita kolonia grecka.

Portrety stanowiące zbiór p. Grafa znaleziono w Rubadżat, o trzy mile na północ, od starożytnej Stolicy Fajum.—Groby zawierające mumie ozdobione temi portretami doznały były już pogwałcenia i zniszczenia w Starożytności, mianowicie przez złoczyńców poszukujących skarbów i kosztowności.—Wszystkie grobowce w Egipcie uległy temu losowi—na szczęście, łotrzyki nie uznali portretów za posiadające jakąkolwiek dla nich wartość i porzucili je w grobach. Dzięki temu przechowały się one bez szkody, w suchym piasku pustyni, gdzie je znaleziono nietknięte.

Sposób, jakim są malowane portrety zbioru p. Grafa, jest dwojaki: dawniejsze i lepsze malowane są *à l'encaustique* —późniejsze, mniejszej wartości—*à la détrempe*. Jednego i drugiego podstawą był wosk, zabarwiony różnemi kolorami, i naprowadzony na deskę, bądź zapomocą *cestrum* (noża malarskiego), bądź też, zapomocą pendzla. Pliniusz, w XXXV księdze, daje krótkie wiadomości o tych sposobach malowania, nad któremi rozszerzać się tutaj nie pozwala mi brak miejsca. Powiedzmy to tylko, że te sposoby są całkowicie zatracone, i że dziś możemy jedynie domyślać się tylko tajników tego kunsztu Starożytności.

Portrety znalezione w Rubadżat nie są wszystkie równej wartości. Obok prawdziwie artystycznych znajdują się mierne, a nawet jakby dziecinną stworzone ręką. Widocznie, ludzie możni udawali się do znakomitych malarzy, — wtenczas gdy biedni poprzestawali na pierwszym lepszym bazgraczu.

Jakkolwiekbądź, zbiór ten starożytnych portretów stanowi ważny przyczynek do historyi malarstwa. Mamy tu przed sobą pewny i dokumentalny punkt wyjścia; łatwiej dziś można zrozumieć, jakiej wartości artystycznej musiały być obrazy takiego Appellesa i innych mistrzów pierwszorzędnych w epoce pełnego rozkwitu sztuki, — kiedy w upadku jej spotykamy takie dzieła, jak tuzinkowe portrety z Rubadżat, dające przecież poznać—jak rozumiano i uprawiano sztukę malarską.

Ciekawą więc niezmiernie jest ta kollekcya, z której zresztą p. Graf kazał wykonać doskonałe heliograwiury. Zachęcają one silnie do poznania samego zbioru.

(Dokończenie nastąpi).

Z KRAJU SŁOŃCA.

Emilie Ruete: Memoiren einer arabischen Prinzessin.

Berlin 1889.

(Dokończenie).

Dbały o wychowanie dzieci, pozwalał sułtan nauczycielom karcić je narówni z niewolnikami uczęszczającymi do szkoły. Szkoła ta była wspólna całej dziatwie pałacowej. Trzymano się dawnej metody garbowania skóry opornych uczniów. Zresztą nie uczono tam wiele. Cała nauka zasadzała się niemal wyłącznie na przyswajaniu ksiąg Koranu pamięci dziecięcej. Po roku zdolniejsi już połowę zakonu powtarzać umieli, zawodząc głosem nosowym niezrozumiałe zdania i ustępy. Mechaniczne to ćwiczenie wypełniało wszystkie szkolne godziny. Kobietom pisać nie przystoi; chłopcy natomiast dla wprawy przepisywali wiersze Koranu. O historyi i geografii mowy nawet nie było. Trochę gramatyki, odrobina ortografii, rachowanie liczb do tysiąca: ot i cała edukacya Zanzibaru — trzymająca się ściśle zasady muzułmańskiej, iż głębsze nauki i wiadomości od szatana pochodzą. Księżniczka Salme, jak i całe jej plemię, wierzyła, że Ałłach jest Bogiem a Mahomet onego prorokiem; poświęcała trzy godziny codziennie na odprawienie pięciokrotnych obowiązkowych pacierzy i unikała prawowicie wszelkich polotów myśli, wszelkich dociekań rozumu lub żądnych wiedzy zachcianek. Muzułmańskie umysły: to fortece niezdobyte, o podniesionych mostach i zawartych bramach. Księżniczka Salme, wszystko złe, jakiemu się przypatrzyła później na Zachodzie, przypisuje wolności sumienia, swobodzie myśli i nadmiarowi nauki. Zdaniem jej, największą plagą cywilizowanych krajów: to nietylko konieczność pracy, nietylko oschłość serc, nietylko chłód wystudzonego klimatu, ale przedewszystkiem zbytek wiedzy i wiadomości. Jednem słowem: określa sytuacyą: „W Zanzibarze wiek złoty, w Berlinie, wiek żelazny!“ „O, szczęśliwi mieszkańcy ojczyzny mojej — woła ze szczerym ferworem — ani się domyślacie, czem jest w gruncie ta mniemana święta cywilizacya“. Czując się obcą i nieszczęśliwą, dostrzegała tylko ujemne strony, mierzyła upadki i słabości, liczyła kamienie obrazy; nie zdawała sobie sprawy z ogólnego postępu ludzkości, szarpiącej się ustawicznie w górę niedostrzeżonem a drgającem w sercach i powietrzu *Excelsior*. Prawda, że ze wszystkich punktów Zachodu Berlin może najmniej uwydatnia szlachetnych prądów dążących ku wyżynom. Niezaszczytnem też jest dla Prus świadectwem, iż uporna Arabka przedewszystkiem na piaszczystym gruncie Brandenburgii stwierdziła rzekome bankructwo cywilizacyi germańskiej, napatrzywszy się dosyta złej wiary i złej woli, oraz czynów niezgodnych z wyznawaniem nauki chrześćijańskiej.

Młodość ozłaca jej wspomnienia i ztąd w piękniejszem jeszcze wystawiają jej się świetle. Ramy tej przeszłości gwarne i jaskrawe do znużenia. Świetlane pałaców Zanzibaru komnaty nie znały firanek, ni makat; słońce igrało po bielonych ścianach, po białych słomiankach, zastępujących kobierce. Na drewnianych półkach lśniły się malowane talerze i naczynia, lub rznięte kryształy, ulubione Arabów przedmioty. Nad niskiemi sofami europejskie zwierciadła zdobiły nagie ściany, mnóztwo zegarów nadawało komnacie pozory składu zegarmistrza. Zbytek to najmilszy majętnych Zanzibaru mieszkańców. Materac okryty złotogłowiem oznacza siedzenie pani domu czy też tylko izby. W rogu stoi łoże tak wysokie, iż, podobnie jak siadając na konia, trzeba ręki niewolnicy, aby dosięgnąć tych wyżyn. Tu i owdzie widnieją skrzynki okute, w których znajdują się suknie, klejnoty, perfumy. Oknami płyną wonie upajające, dochodzi odgłos śmiechów, rozmów, kłótni i biegania. Całość malownicza, ale niespokojna i niepokojąca dla nieprzywykłych do tej skrajności barw i zapachów, do pomieszanych głosów i spotęgowanej ruchliwości.

Kobiety dziwnie i dziko przybrane: w przylegające spodeńki i długą obszerną koszulę, jaskrawej barwy, a z bogatej tkaniny. Wszystko zaś obciążone dodatkami, haftami, galonami, wstążkami, paciorkami. Na szyi i rękach klejnotów bez liku, na palcach pierścieni pełno, głowa jedwabną okryta chustką: całość ciężka, niezgrabna, bogata, nieokreślona. Sama księżniczka Salme dostarcza nam własnej fotografii, w której rozpoznajemy charakter stroju narodowego. Nikła jej postać ginie pod mnóztwem ozdób i ozdóbek. Zaledwie rozpoznać można czarne, bystre oczy, smutny wyraz ust szerokich, i drobne nożęta, wychylające się ze wschodnich sandałów.

Niemały był to kłopot zaopatrzeć cały harem w odzież i stroje, w stroje zwłaszcza tak drogie bezczynnym mieszkankom Bet-il-Toni. Wszystkie te kobiety domagały się ozdób bez liku, modnych barw i tkanin, kosztownych przedmiotów Pieczołowitość sułtańska umiała każdą zadowolnić fantazyą. Corocznie flota naładowana produktami zwrotników wypływała z Zanzibaru ku Indyom, Chinom lub portom Europy. Powrót tej floty stanowił epokę w jednostajnem życiu całego haremu. Natychmiast zabierano się do klassyfikowania sprowadzonych przedmiotów, ażeby je doręczyć wedle żądania i zamówienia uprzedniego. Chcąc dać miarę ilości sprawunków, wystarczy nadmienić, iż każda Arabka wyższego stanu potrzebuje rocznie za 500 dollarów perfumeryi, a więc pomad, wonnych olejków, różów, wyskoków pachnących, proszków i pudrów woniejących. A co wstążek, koronek, świecideł, guzików i galonów, co drobnostek i drobiazgów, o które upominały się zazdrośnie pojedyńcze bibi, kibibi lub sarary! Doprawdy w tym zamęcie tylko ministeryalna głowa mogła się odnaleźć i wręczyć każdej, co się jej należało.

Od rana oblegano składy i magazyny, wynosząc pośpiesznie przyznane sobie materye. Gwar nieopisany towarzyszył podziałom. Słychać było okrzyki radości lub zdumienia, zawodu lub zazdrości. Następowały zamiany, handle, układy. W zapale swym i niecierpliwości, niektóre elegantki przystępowały narazie do przykrawania sobie nowych sukni, nie bacząc, iż nożyczkami dawne niemiłosiernie przecinały. Zewsząd brzmiały głosy pełne uciechy lub rozpaczy. Przez kilka tygodni harem wzburzony nie mógł odzyskać zwykłego spokoju; warzyło się w nim i burzyło, jak w kotle, i nie uciszało, aż po zamknięciu Ramadanu, czyli wielkiego u Muzułmanów postu. Dzień ten ostatni w Zanzibarze jest porą gwiazdki i podarków; sułtan wypróżnia do szczętu swe magazyny, aby obdarować, ni mniej, ni więcej, tylko piętnaście tysięcy domowników, członków rodziny, urzędników i wojsko. Po Ramadanie następują trzy dni świąteczne, na które damy haremowe zwykły przyspasabiać nowe i świetne toalety. Od czwartej zrana snują się po kurrytarzach, rozkoszując się zdumieniem lub zawziętością rywalek. Dłonie i stopy, świeżo malowane, pomarańczową błyskają barwą. Wkoło najsilniejsze, i najrzadsze i najwytworniejsze rozchodzą się wonie. „Kobieta zachodnia taksamo nie może sobie wyobrazić, ile w te dni zużywają u nas perfum, jak wschodnia niewiasta nie zdoła pojąć, ile w Berlinie przez Świątki wypijają piwa“. O siódmej zrana już cały pałac wyglądał jak jedna sala balowa, napełniona ciżbą strojną i ciekawą.

Sędziwy patryarcha miłościwie każdego pytał o życzenia, poczem rozdzielał łaskawie kolendę, nie bacząc na ukontentowanie obdarowanych, zwracających niekiedy podarek z hardym wyrzutem lub niecierpliwością, jeśli ten nie odpowiadał myśli i potrzebie. Dobrotliwy sułtan zamieniał łaskawie odesłany przedmiot, nigdy się nie gniewał na śmiałość swego otoczenia, i z podziwu godną metodą załatwiał trudną sprawę obdarowania rodziny, służby, wojska i urzędników.

Okrom owych dni wyjątkowych, rok okrągły upływał jednostajnie dla mieszkanek haremu. Największą ich rozrywką było przyglądanie się oknem chmarze śpieszącej codziennie przedstawić się monarsze. Między dziedzińcem a oknami pałacowemi nawiązywały się intrygi wypełniające życie wschodnich niewiast. Zamieniano uwagi o przechodniach i snadź ta rekreacya odpowiadała najlepiej usposobieniu arabskich księżniczek, bo Salme, przesycona rozmowami mędrców niemieckich i berlińskich doktorów, nieraz wzdycha za konwersacyą ojcowskich dziedzińców.

I ztąd raz więcej uwydatnia się plemienna różnica charakterów. Ta Arabka, przesiedlona w mgły germańskie, nie rozumie czynnego życia, nie pojmuje rozkoszy pracy. Upatruje w znojnej ruchliwości kobiet niemieckich zatracenie zmysłu arystokratycznego. Dla niej spoglądać oknem na przechodniów już jest dostatecznem zajęciem, prawdziwie książęcą zabawą. *Far niente* przeszło w jej krew i kości; w przykazaniu i powinności pracy widzi tylko przekleństwo i poniżenie. Darmo! nic jej nie przerobi: lenistwo to szczepowe, spotęgowane poczuciem wyższości dzieci sułtańskich nad ogół śmiertelników, oraz przyzwyczajeniem do ćmy niewolników, odgadujących w lot myśli i życzenia pańskie.

Jak dalece cywilizacya zachodnia odbiła się od tej arabskiej duszy, dowodzą jej uwagi dotyczące niewolnictwa. Powiał dziś ponad światem szlachetny prąd litości nad losem biednych Murzynów, znalazł się apostoł nowy przeciw niewolnictwu krucyaty. Księżniczka zanzibarska przyznaje, że los pędzonego ludzkiego bydła godzien jest pożałowania. Wszelako część jej osobistej litości zwraca się, nie tyle ku ofiarom, ile,—któżby się tego spodziewał? — ku przedsiębiorcom handlu

ludźmi, dzielącym trudy karawan niewolniczych i cały ryzykującym majątek, jeśli po drodze, część drogo opłaconego towaru padnie i zmarnieje. Myśl zniesienia w nagły sposób odwiecznej instytucyi, rozcięcia jednym zamachem trudnej kwestyi, a zwłaszcza zniewolenia panów świata i książąt do osobistego trudu i pracy, bez wyręczania się niewolnikiem — wydaje się naszej Arabce, poprostu, potwornym zamiarem i pomysłem.

I znów snuje Salme z rozmiłowaniem i lubością opisy syesty popołudniowej w uciszonym podczas dziennego upału haremie, następnie wieczorne ochłodzenie i zabawy, odwiedzanie się wzajemne, zajadanie cukrów i słodyczy, i niekończące się nigdy rozmowy. Jakikolwiek bywał rozmów tych wątek, nigdy nie wspominano w nich o deszczu i o pogodzie, i księżniczka Salme dopiero w pomrocznej strefie Europy miała poznać jak ważnym przyczynkiem do życia towarzyskiego bywają kwestye klimatyczne.

Od czasu do czasu stary sułtan pozwalał haremowi wyruszyć z Bet il M'toni i Bet il Sahel do jakiej willi lub plantacyi ustronnej i wiejskiej. Dopieroż było z tego powodu zabawy i uciechy, i rozgwaru, jakoby wypuszczonych z klatki ptasząt! W cieniu olbrzymich drzew zwrotnikowych — zasiadały sułtańskie huryski, aby bez końca i miary, przez całą noc ciepłą i pogodną przyglądać się fajerwerkom, słuchać śpiewów, zajadać słodycze i patrzeć na murzyńskie tańce. Takie-to wspomnienia słoneczne i miesięczne, rzucają blask przeciągły na przyćmione dni dobrowolnej a tęskniącej za słońcem wygnanki.

Nasze tedy pojęcia o szczęściu, o zadaniu życia, onego trudach i przyjemnościach, rozmijają się zupełnie z wyobrażeniami córek Wschodu, przeświecającemi naiwnie w zwierzeniach księżniczki Salme. Chwali ona bez miary ustrój społeczny własnej ojczyzny, z poczucia przyzwoitości i sromu przysłania delikatnie drażliwsze kwestye obyczajowe, a nie zdaje sobie sprawy, iż szczerością opowiadania sama potępia to, co uwielbić-by pragnęła. I tak rzekomo mądre urządzenia rodzinne przejawiają swą potworność, waląc się odrazu z dniem śmierci patryarchy. Zaledwie Sedżyd Said zamknął oczy a Madżyd zajął sułtańską stolicę, rozbiła się sztuczna rodzina, rozerwały nienaturalne węzły. Brat pokłócił się z bratem, siostra na siostrę powstała, rozpadł się dom książęcy, stoczony intrygami i spiskami. Najczynniejsza w nich Salme wpadła w niełaskę, straciła część swych niewolników i wyjechała na wieś, rozgoryczona doznanemi zawodami.

W owej-to chwili psychologicznej zjawił się p. Ruete na terrasie sąsiedniej willi. Młody był i przystojny; księżniczka, zagniewana na wszystko i wszystkich, rada była uciekać jaknajdalej od skłóconej z nią rodziny i dworu. Niemczyk nie miał nic przeciwko kolligacyi z Sułtanem Zanzibaru. Anglia zapragnęła była temu ostatniemu wypłatać figla i dostarczyła statku, aby uwieźć ciemną kochankę do Aden, gdzie narazie, ochrzczona i poślubiona, Salme zamieniła dotychczasowe tytuły na imię i nazwisko pani Emilii Ruete.

Po upływie lat trzech, mąż jej zginął w strasznym tramwajowym przypadku. Ex-księżniczka znalazła się osamotnioną wobec nieznanych stosunków, które jej się wydawały strasznie powikłanemi i sztucznemi. My, w naszej dumie zachodniej, nie zdajemy sobie sprawy: jakiem jarzmem jest ta cywilizacya, do której przywykliśmy od urodzenia. Zdaje nam się, iż postęp i oświata życie ułatwiają i upraszczają, zrywając pojednemu pęta obciążające barbarzyńskie narodów początki. A podobno rzeczy inaczej się wistocie mają. Każde nowe odkrycie rozszerza tylko zakres naszych potrzeb, każdy postęp dodaje nowe brzemię jarzmu, jakie ponosimy, każdy myśli podbój opłaca się większem znużeniem i zwątpieniem ducha. Trudno nam sobie wystawić przestrach i grozę pierwotnej i nieokrzesanej istoty, gdy się nagle uczuje porwaną wirem kół i kółek tej skomplikowanej machiny, która się zwie cywilizowanym narodem. Księżniczka Salme, owdowiała i osierocona, doznała poniekąd wrażenia i uczucia zmiażdżenia moralnego. Karmiona niegdyś słodyczami kibibi znalazła się bezradna i bezsilna na obcym gruncie. Wtedy to jęła spisywać własne wspomnienia, na pohybel znienawidzonej germańskiej oświacie, która ją zaprzęgła do pługa pracy, wtłoczyła w mundur konwenansu, a rozwiała jej sny młodości twardą rzeczywistością. Cała tedy książka próbuje wykazać wyższość Wschodu nad Zachodem; jeden atoli przypisek niszczy dążność i zamiary piszącej. Po latach wielu w 1883, żądny kolonizacyjnych zaborów Kanclerz niemiecki, wpadł na myśl przewiezienia dawnej sułtanki po Zanzibarze, aby tym sposobem zjednać sobie serca krajowców. Pani Ruete wróciła na słoneczne wybrzeża, upoiła się blaskami i powietrzem ojczystem, ucieszyła powitaniem, jakie jej zarządziły władze niemieckie. A mimo to z nową goryczą wróciła nad Sprewę. Przekonała się bowiem, iż młodość opromieniała dla niej przeszłość, zakrywała ciemniejsze barwy, które dopiero dostrzedz mogła wtedy, gdy wiekiem dojrzała, zachodnią kulturą rozwinięta, w dawne wróciła stosunki. Z rozpaczą w sercu przekonała się, iż zatraciła zmysł i zrozumienie wschodniego świata, a nie umiała się do zachodniego dostroić. „Opuściłam ojczyznę dobrą Muzułmanką i Arabką do szpiku kości. Czemże dziś jestem?—pisała za powrotem z Zanzibaru w 1885 roku. — Lichą chrześcijanką i lichszą jeszcze Niemką.“

Zawisła tedy moralnie między dwoma światami, które się bodaj nigdy zbliżyć i zlać z sobą nie zdołają. Nadto wiele dzieli je różnic w pojmowaniu życia i przeznaczeń człowieka, aby spodziewać się można rychłego rozwiązania kwestyi, która niejednę tylko biedną wykoleiła Salme. Długie jeszcze upłynąć muszą wieki, zanim te skrajne ludzkości kończyny dojść potrafią do jakiegobądź zrozumienia się i porozumienia. W chwili, gdy Zachód więcej niż kiedykolwiek rwie się do pracy i postępu, Wschód cofa się tem zawzięciej w moralny zastój i zasklepienie. Czy się ten duch od wieków uśpiony kiedykolwiek zbudzi z sennego ukołysania? Na to potrzeba-by upadku Islamu, ten zaś z każdym dniem nowe w Afryce podbija zagony, stawiając tamy nieprzebyte postępom cywilizacyi chrześcijanskiej, przyjmującej się owiele łacniej na pogańskim, aniżeli na muzułmańskim gruncie.

M.

Kronika działalności kobiecej.

Otworzyła się nowa u nas gałąź pracy i zarobku kobiecego. *Kurjer Warszawski* doniósł, że jeden z największych składów aptecznych w Warszawie zawarł umowę o znaczną dostawę ziół i roślin leśniczych z p. H., właścicielką posiadłości ziemskiej. Pani ta używa do zbierania wspomnianych przedmiotów dzieci wiejskich, niewątpliwie z odpowiednim nadzorem. Wiele ziół i roślin leczniczych, rosnących bujnie pod klimatem naszym, sprowadza się do składów aptecznych z zagranicy, a to z powodu ułatwionej ich ztamtąd dostawy. Panie nasze wiejskie—mieszkanki prowincyi, powinnyby wiązać się w pewnego rodzaju towarzystwa i odpowiedniemi partyami dostawiać ten towar, poprzedziwszy to stosowną umową.

— W roku ubiegłym zarobek kobiet pracujących w Warszawie igłą wynosił: szwaczki bielizny zarobiły 694.300 rs., modniarki 1.300.000 rs. Szewcy damscy mieli dochodu 1.391.000 rs., Kobiety zapragnęły też przyswoić sobie tę gałąź pracy i wdowa po szewcu damskim w Łodzi, S..., stanąwszy na czele warsztatu mężowskiego, postanowiła zajmować same kobiety, do czego uzdolniła córkę swoję i dała jej w pracowni swego zakładu miejsce pierwszego czeladnika. Próby szewctwa kobiecego i dziecinnego, przedsiębrane u nas już poprzednio przez kobiety, niezupełnie się powiodły, gdyż potrzeba było w zakładach kobiecych przyzywać pomocy męzkich czeladników ze względu na potrzebną tu siłę męzką. Prowadzenie zakładu przez wdowy lub córki majstrów szewckich nie jest bynajmniej nowością.

— P. Marya z Rawiczów Wołowska pomnożyła zbiory ichtyologiczne Muzeum Zoologicznego we Frascati darem ryb z Antyllów.

— Wśród zarobkowych warsztatów w Salach Staszyca urządzono i pracownią robót kobiecych.

— P. Wodzińska z Suchej dobroczynnie wsparła po nastąpionym w tej wsi pożarze rodziny najbiedniejszych pogorzelców, zaopatrując dzieci w odzież i bieliznę.

— Mozaika drzewna, okazana na *Wystawie Pracy kobiecej* przez p. Zofią Jeżewską ze Skrwilna, zainteressowała otyle p. Butowt Andrzejkiewiczównę, należącą do komitetu sędziów w wydziale sztuki, że artystka zażądała od wystawczyni objaśnień, co do sposobu wykonania, na co odebrała odpowiedź, przedstawiającą dokładny obraz całego processu tej nadobnej pracy, w której p. Jeżewska była sama sobie mistrzynią, jak pisze: „Znałam robotę dziecinną, zwaną u nas powszechnie: „Laubsäge-Arbeit“ a mając rozmaite z Włoch przywiezione drobiazgi, ozdobione mozaiką drzewną, przez rozbieranie jej i uważną obserwacyą doszłam do wykonania podobnych. Do tej pory wykonałam kilkanaście sztuk tej drzewnej mozaiki, zastosowanej jako fornir do stolików, szkatułek i t. d. Szafka ozdobiona tą mozaiką jest w robocie.“

P. Jeżewska życzyła-by sobie zbywać wyroby, wykonywanej przez siebie mozaiki, ale napotyka pod tym względem trudności, łączące się koniecznie z wszelką pracą tego rodzaju, prowadzoną na wsi. Stolarz warszawski p. Sawicki użył mozaiki jej wyrobu, jako forniru na stoliczek, podobnie i stolarz meblowy w Glatz, Müller, jak też i wiejski stolarz z okolicy Skwirlna. Do tej pory p. Jeżewska pracuje sama; gdyby przecież zwrócono się do niej z zamówieniami, uzdolniłaby sobie do tej pracy pomocnice.

Narzędzia używane przez p. Jeżewską są: piłka ręczna: „Laubsäge“, prócz tego obcążki, szczypce, pilniki, świder, młotek, sztyfty, śruby stolarskie, klej, papier szklany. Do wyrobu mozaiki używa ona wszelkiego drzewa w stanie naturalnym, do pewnych tylko ozdób i szczegółów kostiumowych bierze drzewo rdzennie farbowane, tak trwałe, że je można myć, szorować, heblować nie sprowadzając zmiany. Zastosowanie tej mozaiki do mebli jest bardzo rozpowszechniona we Francyi i Niemczech. P. Jeżewska dodaje, że, mając wskazany sobie rozmiar oraz styl sprzętu, który mozaika miałaby ozdobić, może na zamówienia w oznaczonym przez siebie czasie mozaikę tę wykonać. Cena może być niższą, niż na przedmiotach wystawionych, skoro będzie zamawiany sam fornir bez podkładki i politury.

Siła piętnastoletniego dziewczęcia z klas pracujących już do tej roboty jest dostateczną; nauka, ograniczająca się na wskazówkach co do wykonania, nie potrzebuje czasu dłuższego nad dni 15. Wprawa przyjdzie sama przy dobrych chęciach. Kapitał zakładowy 30 rs., starczy na wszystkie początkowe wydatki. Opis tej nowej pracy kobiecej zakończa poczciwie p. Jeżewska słowami: „Pragnę, aby wystawienie przezemnie wyrobów mozaikawych otworzyło nowy zarobek dla potrzebujących go, a nieutalentowanych, mniej silnej komplexyi, lub niemogących pracować poza domem zawsze jednostajną ilość godzin“. Adres p. Zofii Jeżewskiej: przez Włocławek, Rypin, w Skrwilnie.

— We Lwowie pod opieką magistratu istniejące towarzystwo pań Śtej Salomei, z celem wspierania ubogich i dziećmi obarczonych wdów, podzielone jest na sekcye, z których każda działa w jednej z dzielnic miasta, wyznaczonej sobie. Ponieważ stowarzyszone odwiedzają osobiście wspierane przez siebie ubóstwo, powzięto myśl, aby wszystkie, istniejące w mieście instytucye dobroczynne, zespoliły z towarzystwem i działały za jego pośrednictwem. Wsparcia by yby rozdzielane wtedy według rzeczywistej potrzeby prawdziwie ubogim i nigdy działalność kobieca

użyteczniejszą-by się nie okazała. Towarzystwo wzięło sobie za wzór stare „Bractwo Miłosierdzia“, założone niegdyś przez Skargę, które podobnie wspierało ubogich tylko po domach, co dawało możność, jedyną może, dobrego zbadania, czy nędza jest prawdziwą i nie wynika ze źle prowadzonego życia.

— Marya Mitchell, znana w naukowym świecie astronomka, umarła w Nowym Yorku. Była ona córką astronoma także, Williama Mitchell, urodziła się w mieście Nantucket, w Stanie Massachusetts w 1818 r. Zdolności umysłu rozwinęły się w niej tak wcześnie, że dziewczęciem jeszcze służyła ojcu jako pomocnik w matematycznych i astronomicznych badaniach. W ośmnastym roku została członkiem naukowego stowarzyszenia miejscowego „Nautucket-Athenaeum“ i od tego czasu oddawała się już systematycznie poszukiwaniom astronomicznym, zwłaszcza mgławic i komet. W 1847 dokonała ważnego odkrycia komety, co sprawdziło jej sławę w świecie uczonych astronomów i order udzielony przez krola duńskiego. W 1858 r. przybyła do Europy i zwiedzała wszystkie znakomitsze obsewatorya, najpierw Anglii, potem całej Europy, przyjmowana tam z wielkiemi honorami przez Hershla, następnie przez Lemerciera w Paryżu i Humboldta w Berlinie. W 1865 r. została professorem astronomii w kobiecej akademii amerykańskiej: „Vassar College“ i zarazem dyrektorką miejscowego obserwatoryum, które to urzędy pełniła aż do początków r. 1888 W Styczniu wspomnianego roku uwolniła się od tych zajęć, nie dla odpoczynku przecież, lecz aby się oddać całkowicie badaniom plam słonecznych, oraz satellitów Jowisza i Saturna. Była członkiem honorowym wszystkich niemal uczonych towarzystw Ameryki i Europy— pierwszą kobietą, która uczyniła członkiem swoim amerykańska Akademia Sztuk i Umiejętności. Pisywała nietylko do naukowych czasopism Ameryki i Anglii: odzywała się niekiedy i w pismach literackich, dopominając dla kobiety prawa do nauki i jej stosowania w życiu, nie należąc przecież do emancypantek, chcących przewrócić porządek świata, a nawet jawnie okazywała im niechęć mieszania się do ich sporów, zachowując zawsze spokojny i skromny układ kobiecy. Kobiety amerykańskie rozpisały do dzienników wezwanie do wzniesienia jej pomnika.

— Robertowa Vere O'Brien zdołała odnaleźć i wskrzesić do życia zaginiony w Irlandyi kunszt wyrobu koronek, zwanych „Limerick Lace“ od miejscowości, gdzie były przemysłem starodawnym. Własnym kosztem założyła szkołę, zaopatrzyła ją we wzory, przyrządy i kosztowny materyał nici koronkowych. Uczennice, dziewczęta najbiedniejsze miejscowe, odbierają przytem obok pewnego umysłowego wykształcenia i naukę rysunku, którą pani tu uważa za rzecz konieczną dla dobrej koronczarki, która potrafi wtedy urozmaicać sobie sama posiadane desenie, a nawet tworzyć je oryginalnie, dając wyrobom swoim cenny przymiot oryginalności i estetycznie dobrego smaku. Koronczarka, która jest zarazem zdolną rysowniczką, może jedynie kopiować dokładnie stylowe koronki starożytne. Szkoła p. Robertowej O'Brien może być nazwana pod względem staranności w kierunku estetycznego rozwijania smaku uczennic, pierwszą. Jest to niejako akademia koronkarstwa.

— Guiseppina Cattani, która, jak wiemy jest professorem patalogii na Uniwersytecie Bolońskim, rozpoczęła wykłady od bakteryologii, których słucha 300 studentów uniwersyteckich. Prócz tego znaczna liczba wolnych słuchaczy i słuchaczek zbiera się zawsze na jej prelekcye.

Z bieżącej chwili.

— **Warszawa** rozszerzy się przez wcielenie w jej obręb dwóch przedmieść: Woli i Czystego. Rzecz jest postanowioną.

— **Biblioteka umiejętności prawnych** wskrzeszoną zostaje. Grono prawników, wyszłych z łona Szkoły Głównej, obowiązało się między sobą dostarczyć funduszu i wspierać wydawnictwo współpracownictwem.

— **Warszawska Kassa Oszczędności** ma 42.761 uczestników. Złożony kapitał wynosi 1.993.383 rubli.

— **Historyczna mapa** Jana Topolnickiego wyszła w Lipsku. Tamże wychodzące czasopismo *Literarische Corespondenz* oddaje temu dziełu wielkie pochwały i objaśnia, że zawiera ono oragraficzny i hydrograficzny obraz kraju: wyżyn, również i wód w granicach z 1772 r. i dawniejszych, z podziałem historycznym na prowincye, dalej na województwa i ziemie, z zaznaczeniem historycznie ważnych miejscowości. Przedstawia pola wielkich bitew, sicze i stanice zaporozkie, szlaki tatarskie. Dwie mapki podają obraz rozbiorów. Całość sięga Inflant, Mórz Azowskiego i Czarnego, Węgier, Austryi, Czech, Niemiec, Danii i Norwegii.

— **Kassa Mianowskiego** zamierza wydać nakładem swoim dzieła Romana Zmorskiego, zwłaszcza poezye rozrzucone po różnych czasopismach. Poeta zmarł w 1867 r.

— **W Łodzi** krzątają się koło założenia bezpłatnej czytelni dla rzemieślników i robotników fabrycznych na wzór świeżo otwartej w Radomiu. Do szkoły fabrycznej, fundacyi Scheiblerów, uczęszczało w ubiegłym roku 471 dzieci: 262 chłopców i 205 dziewcząt.

— **Szkoła Górnicza** w Dąbrowie otrzymuje na utrzymanie swoje procenta od summy, przeznaczonej jej na ten cel testamentem ś. p. Konstantego Walickiego. Prócz tego właściciele kopalni i zakładów hutniczych wnosić będą odpowiednie opłaty. Kilka większych hut zobowiązało się urządzić wspólnemi siłami bibliotekę szkoły.

— **Wydział rolniczy na Uniwersytecie Krakowskim** otrzymał od Ignacego Żółtowskiego dar 2,000 złr., z warunkiem, aby dopuszczono do słuchania wykładów rolnictwa kandydatów na nauczycieli szkół ludowych, kształcących się w krakowskiej szkole nauczycielskiej. Senat akademicki poparł myśl tę przychylnie.

— **Do Ameryki** wywędrowało z Poznańskiego od 1-go Stycznia b. r. po dzień 1-go Czerwca 6.533 osób.

— **Akademicka wystawa sztuki** w Dreźnie otwarta dnia 1-go Września, trwać będzie po d. 20-go Października. Z fundacyi Pröll Heur wyznaczono 47.000 na zakupy dzieł wyższej wartości artystycznej.

— **Stowarzyszenie ubezpieczenia robotników od wypadku przy pracy,** zapowiada pierwsze swe posiedzenie we Lwowie.

— **Władysław Mickiewicz** został obrany prezesem międzynarodowym stowarzyszenia literackiego w Paryżu.

— **Na Wystawie Paryzkiej** otrzymał w dziale malarstwa nagrodą honorową Józef Chełmoński, Wacław Szymanowski za obraz: „Kłótnia Huculów“ medal złoty klassy 1-ej, Józef Pankiewicz za „Targ na jarzyny“ medal złoty II-ej klassy.

— **Zagadnienia moralności praktycznej**, dzieło Fran. Bouiller, członka Instytutu Francuzkiego, wyszłe świeżo w Paryżu, jest książką bardzo szlachetnego nastroju i interessu, nie dla Francyi tylko. Autor traktuje na wstępie znaczenie moralności w stosunku do szczęścia i wielkości narodów, dalej wykazuje upadek zmysłu moralnego w społeczeństwach dzisiejszych i spaczenia sumienia publicznego. Pisze następnie o małych przyjemnościach i cierpieniach przeciętnego człowieka naszego wieku, o cywilizacyi bez moralności i moralności bez religii, o zachętach do dobrego i nagrodach cnoty—o kłamstwie i hipokryzyi nowożytnego życia. Krytyka francuzka zalicza *Questions de morale pratique* do dzieł wyższego znaczenia.

— **Badacz Afryki** dr Zintgraff, zginął zapewne w głębi Kamerunu, gdyż od kilku miesięcy nie daje żadnej wiadomości o sobie.

— **Życie i śmierć Maryi Sztuart** przedstawione w innem zupełnie, nowem świetle, zostanie wkrótce ogłoszone drukiem przez belgijskiego badacza dziejów, barona Lettenhove, prezydenta belgijskiego *Towarzystwa historycznego*. Nieznane dokumenta, odkryte w rządowych archiwach angielskich, stawiają rzecz pod innym kątem widzenia.

— **Książę Karol Teodor Bawarski,** brat cesarzowej austryackiej, a zarazem sławny okulista, dokonał tysiącznej operacyi ocznej. Książę praktykuje w szpitalach i między ubogim ludem Bawaryi i Austryi.

— **Czeskie towarzystwo dziecinne pielęgnowania kwiatów** rozwija się bardzo pomyślnie. Towarzystwo rozdaje dzieciom od początku wiosny bezpłatnie kwiaty i rośliny wraz z drukowaną instrukcyą, jak należy je pielęgnować, w jesieni zaś udzielać będzie nagrody tym, które okażą najpomyślniejsze pracy swej rezultata. Ogrodnicy czescy dostarczyli Towarzystwu 2.000 roślin bezpłatnie. Towarzystwa podobne istnieją w Anglii i Belgii.

— **Balon,** którym królowa Krystyna Hiszpańska puściła się w powietrze przy próbie balonowych wypraw wojskowych, otrzymał nazwę: *Marya Krystyna Habsburg*. Dama honorowa, mająca towarzyszyć królowej, cofnęła się przed wyprawą ze strachu i królowa odbyła podróż nadpowietrzną w towarzystwie pułkownika inżenieryi i 4 żołnierzy. Balon wzniósł się na 300 metrów ponad ziemię. Po zdjęciu fotografii nadpowietrznego obrazu Madrytu, balon spuścił się na ziemię wśród radosnych okrzyków wojska i ludu.

— **Papież** ofiarował Towarzystwu Missyjnemu milion lirów na cele propagandy.

Sprostowanie.

W numerze 29 „Bluszczu“ w artykule p. t. Kolonje letnie na str. 230 w szpalcie 1 w wierszu 34 od góry, zamiast: „Kamocka“ powinno być: „Myszkowska“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

TREŚĆ: Pogawędka. — Błędna Ścieżka. Szkic powieściowy, M. Wołowskiego. — Nowiny paryzkie. — Z kraju słońca, przez M... — Kronika działalności kobiecej. — Z chwili bieżącej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: O Własnej Mocy, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 19 Іюля 1889 года.